№ 9. Warszawa, dnia 16 (28) Lutego 1885 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.

STUDYA LITERACKIE.

O „POGANCE" NARCYZY ŻMICHOWSKIEJ.

PRZEZ

Józefę Zdżarską.

(Dalszy ciąg.)

Inne utwory Żmichowskiej, tak prozą jak wierszem, uwydatniają również życie ducha kobiet, lub jej samej, w rozmaitych jego chwilach i sytuacyach. Nad wszystkiemi jednak jej pismami góruje „Poganka". Jest to w swoim rodzaju arcydzieło literatury naszej, najcenniejszy klejnot pióra Gabryeli.

Prologiem tej wspaniałej powieści, jest piękna galerya obrazów kobiet i mężczyzn, w malowaniu których, w dobieraniu do nich farb, w modyfikowaniu światła, cieni, autorka jest mistrzynią. Dla każdej postaci ma wyraz właściwy, zawierający w sobie, niby w jednym, potężnym rzucie pędzla, całą postać.

Weźmy np. Emilię. To duch czysty i spokojny, który prosto, jak rozkaz Boży, ku dobremu idzie. Czyste życie Felicyi, rozwijało się niby dzieło muzyczne, według praw rytmu i harmonii. Henryk był odważny jak lew, szlachetny jak epopeja, przez matkę, którą ubóstwiał, (gdyby nawet religia wygasła w sercu jego), byłby zrozumiał Boga. A Beniamin, bohater powieści? On sam siebie opisze opowiadaniem swojem, które Gabryela zatytułowała „Poganką".

Opowiadanie wprowadza nas do oazys ogniska domowego, przy którem ujrzało światło dzienne, dziecię z kolei dziewiąte, przyjęte takiem serdecznem błogosławieństwem, jak najpierwsze, jak raczej zwykle dziecię w czystej miłości zrodzone. Całej rodziny serce skupia się przy tej dziecinie, powitanej krzyżykiem ojca, śpiącej cicho przy boku matki. Najukochańszemu, dają pieszczone imię Beniamina, którego tulą w rodzinnem objęciu, usypiają, kołyszą, słowem kochają, bez jego wiedzy jeszcze. Ono się rozwija w tem cieple uczuć, w tej pogodzie i jasności szczęścia, w której cała treść jego istoty, nasiąknęła niejako pieśnią miłości, różnobrzmiącej, wszechstronnej i harmonijnej. Jak tu Gabryela umiejętnie, w cudnym, na małuchną skalę obrazku, przypomina rodzicom, że takie właśnie życie dziecięciu utworzyć potrzeba, by się stać mogło kiedyś, bogatą przyczyną przyszłych następstw, chwilą rodzicielką wszystkich chwil dziecka i człowieka.

Więc kiedy to dziecię poczuło się i rozejrzało po świecie, znalazło zaraz w głębi ducha własnego owoc gotowy, który stał mu się tem, co nazywają skłonnościami, charakterem, naturą. Każdy je kochał i ono ocknąwszy się kochało każdego, a przed tem kochaniem nie było przeszłości, jak przed Bogiem nie było początku. Nie dosyć, wszyscy oni po za dziecięciem kochali wszystkość w różnych objawach, w różnych jej kształtach, na swoją własność. Julcia siostra, kochała dumki ukraińskie; brat Adam, niebieskie oczy córki sąsiada; Józef ziemię, którą uprawiał; Ludwika wodę bieżącą i kwiaty niezerwane; Karol psa, konia i strzelbę dwururkę; Bronisia gwiazdy i niebo; Cypryan, obrazy; Terenia, powieści; ojciec, książki; a matka... kochała ludzi. Dla dziecięcia więc, pierwsze drgnięcia serca, pierwsze połyski myśli, z ich wszystkich ulubionych wrażeń się złożyły.

Z tych wyłącznych ukochań, tworzą się dla niego cudownie piękne, jego budzącego się ducha wrażenia, wybitne, pierwsze, a dla czytelnika klejnoty, obrazki takie, pozornie formą maleńkie, a bogate treścią, pełnią życia i poezyą wysoką.

W tych obrazkach, składających się na pyszny wstęp, w tem bogatem preludium do duchowej epopei życia, głębokiej filozofii, owianej tchnieniem piękna, oddała Gabryela niby świat powszedni, państwo rodzinne, mieszczące się pod strzechą słomianą, podniesione do wysokości ideału. Tu właśnie, w całej pełni chrześciańska miłość panuje, wielka w swej sile i prostocie majestatycznej, zawierająca we wspaniałej całości wszystko to, co życie życiem czyni, co człowieka na człowieka namaszcza, skupiając wszystkie potęgi ducha,

które nam dają ukochać, podbić, upodobać sobie, założyć na ziemi królestwo Boże, zamożne we wszelkie dary Ducha świętego.

W pierwszym obrazku, Beniaminek rozrzewniony śpiewem Julii, poczuwa w sobie serce i płaczem niby nowonarodzone dziecię, budzi się do życia. Są to łzy czyste, radosne, niby krople chrztu żywota, dające niewysłowione rozkosze sercu, przepełnionemu uczuciem gorącem. W drugiej powiastce miniaturowej, goreje świętym ogniem miłość wyłączna, dwóch serc, ale chrześciańska, której świętości nie uwłacza pocałunek, pierwszy, gorący uczuciem, bo tu miłość była szczęściem życia, najpiękniejszą prawdą Bożą, szła z podniesionem dumnie czołem, wśród współczucia, skromnego uszanowania i uznania serc życzliwie przyjaznych.

Trzeciego obrazka treścią wyraz „daleko”, cudownie uplastyczniony i kwiaty zerwane nielitosną ręką dziecka, ozłocone poezyą życia, tym kwiatem paproci, rozkwitającym tylko dla dusz wybranych, stworzonym mistrzowskiem piórem Gabryeli.

W czwartej opowieści, rolnik siedzący z dziecięciem na wozie, naładowanym snopami żyta, pokazuje mu królestwo ziemi, które pracą rządzić będzie, a którego srebrem, złotem, purpurą królewską, kłosy żyta, tatarka, gałązki modraków, a bogata natura, wyłączną własnością tego, co ją ukochać umiał.

Bohater piątego obrazka, mający za kochankę strzelbę dwururkę, posiadacz ślicznej klaczki Zitty i psa Molocha, co nie nadużywał swej siły, budzi w dziecięciu odwagę, męztwo, kładąc mu w drobne palce broń zabójczą, którą pierwszy raz zarumienia ziemię białym całunem okrytą i bohatersko zabija wilka, zwierzę szkodliwe. Homerowski to zaiste obrazek, takie tu mistrzowskie ujęcie prawdy, gorącego uczucia i zapału, w maluchne ramki powiastki zamknięte. Treścią następnej opowieści wyraz wielki, co wszystko zawiera w sobie... Bóg... a więc to, co jasne, śpiewne, piękne, szczęśliwe do koła i w piersi Beniamina. Pozostał mu On i wówczas w sercu, gdy pogubiwszy po drodze wszystkie perły ducha, czuł zawsze w piersi zbolałej: że piękność, jasność, szczęście, mądrość, miłość to... Bóg! Koroną tej epopei szacunek i cześć, jakim rodzina otacza ojca, patryarchę, kochającego historyę, upatrującego w niej to, co się dzieje, aż na krańcach ziemi, aż po głębię duszy ludzkiej; wreszcie obraz matki, na określenie której składa się wszystko to, co Beniamin ma najlepszego w uczuciu, w czynach. Cały ten jasny poemat życia, etyczno psychiczny, ożywiony ruchem działalności ludzkiej, a pełen majestatycznego spokoju, nacechowany filozofią wysoką, uwydatnia w najdrobniejszych szczegółach proces uczuć, serca, głębi ducha człowieka, we wszystkich fazach życiowych, oddany z całą znajomością i miłością, jaką Gabryela tchnie dla ludzi-braci. Tło tego wspaniałego prologu jest idealno-rzeczywiste, bo jego bohaterowie chociaż czołem nieba dosięgają, stopą jednakże silnie ziemi się trzymają. Beniamin kilkoma tylko słowami Cypryana i Terenię określa, bo chociaż pierwszy rysuje się w dalszym ciągu opowiadania wybitnie, ale na próg rodzinnej strzechy wstępuje jako jej demon, niby anioł upadły Miltona, co na krawędzi utraconego raju walczyć poczyna ze świętym Michałem, więc do sanktuaryum ogniska domowego zaliczonym być nie może. Pominiętą została i Terenia, gdyż bajkami o zaczarowanych księżniczkach, tłomaczeniem obrazków Cypryana, które już wchodzić zaczęły w szaloną biografię Beniamina, rozbudziła fantazyę dziecięcą, ukazując mu w dali zakazane owoce. W tem umiejętnem przeprowadzeniu idei przewodniej, w tej niezamąconej niczem harmonii w opowiadaniu, znać rękę mistrzyni, chociaż znakomita poetka wyraźnie czytelnikowi znać tego nie daje, tylko dopatrzeć pozwala tej nici złotej, łączącej w taką cudowną jedność tę wspaniałą epopeję.

To samo powiedzieć można o pełnym grozie opisie spadania w przepaść, w którą bohater powoli zapadał: to prolog do jego moralnego upadku, mistrzowski, przeczuciem kobiecego serca odczuty wyrzut sumienia, wywołany wspomnieniem świętej, błogosławiącej matki.

Po tym majestatyczno-ponurym, maluchnym w kształcie, ale olbrzymim w doniosłości poemaciku, Beniamin przypomniawszy, że się narodził kochanym, wzrastał kochającym, bo kochanie jak mówi, było sumaryuszem całych jego kursów pedagogicznych, wzmiankuje, że się nauczył górnictwa i mając lat 17 został górnikiem.

Opowiadanie swoje rozpoczyna od opisu patryarchalnej matki, łamiącej ze słowami błogosławieństwa opłatek z mężem i całą rodziną. Na ostatnie jej słowa ukazuje się Cypryan, artysta całą duszą, całem jestestwem swojem, piękny jak kwiat burzą namiętności złamany, wracający ze stron dalekich. Przywitawszy rodzinę, zachwyca się pięknością idealną Beniamina, radzi mu, by zdobył sobie szczęście życia całego, bo w nieszczęściu zbrzydnie tak, że nawet Ludwika, która wszystko smutne lubi, minie go ze wstrętem.

Beniamin po młodemu, słowem gorącem zapału przeczy bratu i nieszczęście w idei chrześciańskiej pojęte, podnosi do apoteozy, czując do walki z niem w piersi młodzieńczej siły olbrzyma.

Cypryan, jakby dla przeciwstawienia drugiej idei nieszczęścia, cechy pogańskiej, co słabych zabija, rzeźbi niby dłutem w swoim rodzaju po mistrzowsku, to drugie nieszczęście, przedstawiając je, pod postacią najujemniejszych stron życia. Tu Cypryan występuje już w roli kusiciela. Ale sam na sam z bratem w pokoiku na górce, gdy tenże się obudził po śnie chwilowym, oczarowany jego pięknością młodzieńczą, chce wywołać na jego śliczne oblicze wyraz, któryby mu uwydatnił Alcybiadesa, jakiego mu brakuje do obrazu, przedstawiającego Aspazyę. Obraz ten pochłonął w siebie wszystkie potęgi jego ducha, z jego skończeniem żyć przestanie. Aby dopiąć swego celu, pyta się Beniamina, co mu się śniło, a chcąc dopomódz jego pamięci, maluje mu z całym artyzmem sny młodości.

Przedstawia mu najprzód poetę z siedmiostrunną lutnią w dłoni, z niebem nad czołem, wśród wzniośle bijących piersi, śpiewającego pieśń wielką, którą lud czuł i w takt jej rytmu w żelazne miecze dzwonił.

W śnie drugim, Cypryan, potężnemi rzuty swej wyobraźni artysty-poety, przenosi Beniamina w wieki zapału, fantazyi, artyzmu, piękna starożytnej Grecyi, uwydatniając mu igrzyska olimpijskie. Zdaje się nam, że widzimy tego pięknego Greczyna poetę, pędzącego na wozie zasłanym purpurą, czujemy jego obawy, zapał, chęć gorącą dopięcia celu. Okrzyk zwycięztwa z ust nam wybiega, czujemy się dumni, bośmy zwycięzcy hipodromu, bo gałązka laurowa jest naszą.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

SŁOWICZKU MÓJ.

Gdy słońca blask rozprasza cień,
I złoci listki drzew,
Słowiczku mój, powitaj dzień,
Słowiczku zacznij śpiew!

Słowiczku mój, słoneczko lśni,
Świegoce ptasząt rój;
A tam dzieweczka — marzy, śni,
Zbudź ją słowiczku mój.

Piosenkę jej — do serca lej,
Rozszerzaj serca cieśń,
Słowiczku mój, a leć! a piej!
Czarowną twoją pieśń. —

Gdy słonko lśni nad główką twą,
Gdy się zieleni maj,
Słowiczku mój — piosenką swą,
Dzieweczkę zwabiaj w gaj.

I miłość w jej serduszko wlej,
I oko okraś łzą,
Słowiczku mój, a leć, a piej!
Czarowną piosnkę twą!

A gdy się skończy dzienny znój,
Wieczorne echa budź,
Słowiczku mój, śpiewaku mój,
Czarowną piosnkę nuć.

Jowita.

NA DRODZE I BEZDROŻU.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

E. Zoryana.

(Dalszy ciąg.)

IV.

Dom pani Modlińskiej w Krakowie, należał do najprzyjemniejszych i najbardziej uczęszczanych. W salonach jej dawało sobie całe wyższe towarzystwo *rendez-vous*, bo pani Modlińska była prawdziwą arystokratką z rodu i majątku. Była wdową po jednym z najdzielniejszych obywateli kraju, miała rozgległą rodzinę, stosunki, a wreszcie prowadząc dom na wielką skalę, mogła przyjmować choćby książąt krwi. Cały świat krakowski bywał u niej, przez pamięć dla zasług męża, a zarazem ceniąc jej osobiste zalety. Pani Modlińska odznaczała się wielkimi przymiotami, inteligencyą i uprzejmością, która z niej czyniła ideał gospodyni. Wtorki jej miały ogromną wziętość; bywać na nich, znaczyło należeć do „towarzystwa”. W salonie tym można było porobić doskonałe znajomości, przypatrzeć się życiu śmietanki arystokratycznej i dowiedzieć najświeższych wiadomości politycznych. Krakowscy posłowie na sejm i do rady państwa, gromadzili się tu zawsze, ilekroć powracali do domów i oni to nadawali salonowi cechę polityczną. Młodzież garnęła się dla

pięknych pań i posażnych panien, a bodaj czy nie dla uroczej córki gospodyni domu, dziewiętnastoletniej panny Amalii.

Wchodzimy do salonu pani Modlińskiej, na wieczór wtorkowy. Dokoła zbytek jaśnieje w całym blasku. Morze światła rozlewa się po pysznych komnatach, blade półcienie zalegają gabinety, damy strojne i piękne otoczone młodzieżą, promienieją weselem... może nawet szczęściem. Ktoby odgadł prawdę? Wszak jesteśmy na raucie, więc nie ma tu miejsca dla smutku i lic bladych...

Gospodyni domu, jeszcze dość piękna, rozmawia z paniami, rzuca półsłówka panom, stara się o ożywienie towarzystwa.

— Dawno nie widziałam u pani hrabiego Artura; — mówiła jedna z pań, zwracając się do gospodyni — czy jeszcze ciągle bawi w Wiedniu?

— Zobaczysz go, kochana pani, dziś jeszcze. Wczoraj powrócił i był u mnie w południe.

— A, to miła niespodzianka dla nas. Pomimo wszystkich zalet naszej młodzieży, przybycie hrabiego Artura jest bardzo pożądane. Nie znam drugiego tak miłego człowieka; to prawdziwa dusza naszego towarzystwa.

— Zgadzam się na to najzupełniej, cenię hrabiego wysoce, a tym razem zawdzięczamy mu jeszcze coś, co paniom powinno prawdziwą sprawić przyjemność...

— Zaciekawiasz nas pani.

— Dzięki hrabiemu, będziemy mieli nowego uczestnika naszego towarzystwa.

— Któż to?

— Alfred Zagórski, młody człowiek bardzo dobrze ułożony, który kilka lat bawił w Wiedniu i właśnie z hrabią Arturem przybył.

— Zagórski? — powtórzyła jedna z pań pytająco.

— Majętny obywatel z Samborskiego, bliski kuzyn pani Bilskiej.

— Ze Strzałkowa? — wtrącił ktoś.

— Tak jest.

— Znam jego rodzinę, matka była cioteczną siostrą pani Bilskiej?

— Rodzice już podobno nie żyją?

— Matka umarła dawniej, ojciec przed dwoma laty.

— Odziedziczył wielką fortunę, ale jakże z wychowaniem?

— Zobaczycie panie same. Jest to młodzieniec *très comme il faut*. Rodzice zakopali się byli na wsi i zupełnie usunęli od towarzystwa, ale pana Alfreda, wychowywała pani Bilska; ostatnie lata spędził w Wiedniu, bywał w pierwszych domach, a wszędzie go przyjmowano z prawdziwą adoracyą. Jest to podobno niepospolita inteligencya...

Otwarły się drzwi salonu i ukazało się dwóch mężczyzn, ku którym skierowano oczy. Jeden z nich, liczący lat około trzydziestu, słuszny blondyn o arystokratycznych rysach, był hrabia Artur. Drugi to Alfred Zagórski.

Dwa lata minęły odkąd ostatni raz go widzieliśmy, a wpływ ich uwidoczniał się korzystnie. Wypiękniał trochę, z lic zniknęło zmęczenie i bladość, oczy odzyskały dawny blask, co wszakże nie ujmowało mu powagi. Miał już lat dwadzieścia pięć, ale poważnym był, jak dojrzały mężczyzna. Powierzchowność miał bardzo ujmującą.

Hrabia Artur pospieszył z towarzyszem do gospodyni, witał się z paniami i zostawiając Alfreda poszedł do mężczyzn, którzy go oczekiwali. Był ulubieńcem salonu, więc pożądanym gościem.

Po powitaniach, zarzucono go pytaniami:

— Kto jest twój towarzysz?

— Zagórski, Zagórski, to nazwisko mi znane.

— Czy to kuzyn pani Bilskiej?

— Czy to ten, który bywał u hrabiego R*?

— Mówże, mów, kogo nam przywozisz?

— Ależ powoli, powoli; sto rąk potrzebowałbym na powitanie, sto głów na zapamiętanie pytań...

Ściskał się ze znajomymi, rzucał każdemu dowcipne słówko, ruszał się istotnie za stu.

— Dowiemyż się wreszcie, kto jest ten Zagórski?

— Przedewszystkiem nie jest to żaden „ten”, tylko Alfred Zagórski, właściciel trzech wsi, folwarków i gotówki, szlachcic karmazyn, najzupełniej nasz, czego dowodem, że bywał istotnie u hrabiego R* w Wiedniu.

— Podobno zdolny ogromnie?

— Powiadam wam, że to będzie pierwszy polityk w kraju, głowa jakich mało, a do tego dyplomata pierwszej wody.

— Jakżesz w życiu? zimny pewno.

— Przeciwnie, najweselszy; hulał jak my wszyscy, teraz już się ustatkował, bo ma głowę i chce ją utrzymać ponad tłumem.

— Przypominam sobie — mówił jeden — że mi o nim wspominał hrabia R*, i chwalił go bardzo. To może być jeden z *naszych*...

— Ale będzie z pewnością. Ojciec był demokratą, choć szlachcic i bogaty, ale syn niepodobny do niego. Nasi w Wiedniu zwrócili na niego uwagę i polecają go tu gorąco, może być naszym pionierem nad Dniestrem.

— A, to ci damy order za taką zdobycz.

Poważniejsi panowie mówili także o Alfredzie.

— Znasz hrabio młodego Zagórskiego?

— Owszem, spotykałem go w Wiedniu, bardzo dobrze ułożony chłopiec — odpowiedział hrabia Z*.

— Mówią, że niepospolicie zdolny.

— Zdolności ma istotnie...

— Hrabia R* pisał mi o nim, polecając go usilnie. Ma podobno majątek w Samborskim i mógłby nam oddać ważne usługi.

— Wiem o zamiarach hrabiego, chociaż się na nie nie zgodzę. Zagórski jest niewątpliwie zdolny, ale niedouczony. Chwyta w lot wszystko, a nie ma cierpliwości do wytrwałej pracy. Parę lat próżnował, w ostatnich dopiero czasach stał się poważniejszym, ale jak dla mnie za poważnym na wiek swój.

— Ależ to zaleta...

— Bynajmniej. Młodość ma swoje prawa. Niechby się był więcej uczył, mógłby się stać prawdziwie pożytecznym, a tak... za stary i za poważny jest do nauki, pozuje już dziś na wielkość w czem mu zdolności pomagają. Blichtr to wszakże tylko.

— Dla naszych planów może być doskonałą akwizycyą.

— Tak twierdzi większość, takie też zamysły ma hrabia R*... ja sądzę inaczej.

— Nie rozumiem.

— Krzyczą na nas, jakbyśmy byli wrogami kraju i krzywdzą nas tem, ale przyznajmy sami, żeśmy trochę zawinili, wysuwając mierności naprzód. Wiecie panowie, że jestem gorliwym pionierem naszych zasad, dążę do wzmocnienia naszego stronnictwa, byle się to działo z pewną myślą. Nie ilość da nam powagę, ale jakość. Gdy nas będzie mniej a dzielniejszych, łatwiej dopniemy celu. Balast nieudolnych cięży każdemu stronnictwu...

— Sam mówiłeś hrabio, że Zagórski ma wielkie zdolności.

— Tak, ale zawcześnie zaczęto je rozwijać, ktoś mu widocznie zbyt wiele o nich mówił, więc przerwał systematyczną naukę, rzucał się na wszystkie pola, o wszystkiem coś wie, o wszystkiem potrafi mówić i to dobrze, pięknie, ale pierwszy atak argumentów obali go.

— Surowym jesteś hrabio, a chciałbyś aby obóz nasz miał samych takich mężów jak ty, to trudno. W każdym razie przybytek nie zaszkodzi, mamy wiele posterunków do obsadzenia.

— Zresztą — zakończył hrabia — poznamy lepiej Zagórskiego, bo podobno zabawi w Krakowie dłuższy czas. A zanim jeszcze mógłby wystąpić na arenie politycznej, zobaczymy co będzie.

— To prawda — mówili między sobą panowie, ale trzeba go już dzisiaj do siebie przygarnąć, może nam być użytecznym; hrabia R* ma względem niego pewne plany.

Hrabia R* był głową stronnictwa i po większej części przesiadywał we Wiedniu, gdzie miał wielkie wpływy. Człowiek sprytny i wykształcony, obznajamiany z dyplomacyą, kochający kraj, pragnął dla jego dobra pracować i wszelkiemi siłami starał się o wzmocnienie stronnictwa. Wiedział dobrze, że obóz złożony z ludzi wpływowych, a majątkowo niezależnych, może zdziałać wiele. Na politykę demokracyi nie zgadzał się z zasady i paraliżował ją energicznie. On to pochwycił Alfreda i postanowił go zużytkować. Dlatego gorąco polecał go towarzystwu krakowskiemu.

Hrabia Z* był jednym z najsilniejszych filarów stronnictwa, ale nie zupełnie zgadzał się z zapatrywaniami przewódcy. Chciał, jak już z ust jego słyszeliśmy, zbierać siły istotne, a nie ciurów obozowych.

Z tem wszystkiem Alfred miał grunt dobrze przygotowany. Jednym rzutem oka objął sytuacyę i zastosowywał się do niej.

Paniom podobał się najzupełniej. Zaledwo więc pozwoliły mu poznajomić się z mężczyznami i powołały napowrót do siebie. Musiał opowiadać o Wiedniu, który dla naszego „towarzystwa”, był nietylko stolicą państwa, ale i świata; zdawał formalny egzamin ze swoich stosunków i pokazało się, że rezultat był świetny. Alfred znał całą kolonię polską we Wiedniu i wszędzie bywał, widziany i przyjmowany mile. Hrabia R* polubiwszy go, otwierał mu salony i stawiał od razu silnie na nogach.

Panie, które zawsze i wszędzie są miłośniczkami sztuk pięknych, zadawały i na ten temat tysiączne pytania. Opowiadał więc o galeryach obrazów, o nowych artystycznych salonach, o operze i nieśmiertelnym Straussie.

Wzmianka o Straussie zelektryzowała panie.

— Ah Strauss! Cóż to za mistrz! Dawno go pan widziałeś?

— Przed samym wyjazdem.

— Czy zawsze tak popularny.

— O, pani, *der schöne Edi*, nigdy nie przestanie być popularnym we Wiedniu. W Volksgartenie, Kunstvereinie, Kursalonie, kobiety oczy tracą, patrząc na swego ulubieńca. Każde pociągnięcie jego smyczka elektryzuje i tak już żywe wiedenki.

— Niezawodnie skomponował wiele nowych rzeczy?

— Prześliczne! Niedawno słyszałem walca, od którego krew kipi, a głowa tonie w marzeniach...

— Pan nie grywa?

— Owszem, czasami...

— A tego walca?

— Wątpię, ażebym umiał na pamięć.

Panie spojrzały błagająco na gospodynię.

— Panie Alfredzie — odezwała się pani Modlińska — gdybyś pan był łaskaw?...

— Nie chciałbym pani odmówić, ale grywam rzadko i...

— Wybacz mój kochany — przerwał hrabia Artur, który usłyszał rozmowę — muszę cię zdradzić. Niech mu panie nie wierzą, gra wiele i doskonale.

— W obec tego nie godzi się odmawiać.

— Chyba, ażeby przekonać, że Artur przesadził w pochwale...

— Tą bronią mię nie pobijesz — zaśmiał się Artur — ja tu znany jestem z prawdomowności...

Słowa te wywołały ogólną wesołość.

— Dziękuję paniom za tak gorliwe popieranie mej sprawy, a proszę zarazem, ażeby Alfredowi tym razem, no... i w ogóle nie zupełnie wierzyć. Będę jego kontrolerem tam, gdzie go skromność zechce skłonić do rozmijania się z prawdą...

— Niegrzecznie to może, ale dziś istotnie niechcemy panu wierzyć i prosimy o Straussa.

— Muszę być posłusznym, panie wszakże nie mnie winę przypiszą, gdy ich nie zadowolnię; będzie ją musiał dźwigać Artur

— Przyjmę choćby najsroższą karę z pięknych rączek.. — odpowiedział kłaniając się hrabia Artur.

— Panowie—zawołał—oto ambasador Straussa.

Alfred usiadł już do fortepianu, uśmiechnął się na te słowa, wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: niepoprawny i dotknął klawiszów.

Popłynęły tony miękkie, pieściwe, rozmarzające, a pomiędzy nimi przewijał się, niby cień, motyw walca; potem tempo uderzało wyraźniej, silniej, aż wreszcie zawirowało rozkosznie. Krew zagrała szybciej, serduszka panienek wybijały pospiesznie takt walcowy, oczy płonęły jak szafiry i czarne dyamenty. Zdawało się, że nagle wszyscy porwą się z krzeseł i puszczą w szalony wir tańca.

Ale trwało to bardzo krótko. Marzycielskie nuty opanowały znów klawisze, serca się uspokajały, a główki popłynęły na mglistych skrzydłach fantazyi, daleko, gdzieś nad modry Dunaj, czy też do kraju wiecznie zielonych wawrzynów i kwitnących mirtów. Był to jeden z tych walców, przy których odgłosie lepiej się marzy, aniżeli tańczy.

Alfred wstał od fortepianu, zasypany pochwałami. Jednym walcem zdobył sympatyę wszystkich kobiet, nie wyłączając gospodyni.

— Ależ pan grasz jak Strauss!

— Prześlicznie!

— Cudownie!

— Zachwycająco.

— Uczył się przecież u Straussa — szepnął hrabia Artur.

— Prosimy o jeszcze — mówiły panie.

— Grywasz pan zapewne i poważniejsze dzieła?

— Trochę, ale mało z pamięci.

— Jeśli pan zechcesz, przypomnisz sobie...

Alfred protestował usilnie. Nic nie pomagało, musiał być posłusznym.

Obok fortepianu znalazł stos nut. Wybrał z nich jedną z pieśni Schumana i zagrał.

Słuchano go z uwagą.

Grał istotnie pięknie. Jaki mistrz techniki muzycznej zarzuciłby mu wiele, ale słuchacze nie byli znakomitymi znawcami. Zresztą w grze Alfreda była jedna wielka zaleta. Zdawał się odczuwać ducha kompozycyi i z pod palców płynęły mu tony i akordy, wciskające się do serca. Skracał, lub rozciągał takt dla efektu i wywoływał wrażenie.

I znowu powtórzyła się scena dziękowań i próśb nowych.

— Nie mogę — tłomaczył się Alfred — grywam przeważnie pieśni, a te bez słów są zimne, suche.

Gospodyni domu nie nalegała, ale za to jej goście nie ustawali. Tłomaczenie się Alfreda nasunęło im wyborną myśl.

— Zagraj pan tylko, znajdą się słowa, panna Amalia nie odmówi udziału w koncercie.

Teraz znów pani Modlińska wypraszała córkę, lecz w końcu zgodziła się i goście jej usłyszeli koncert wokalno-instrumentalny, urządzony na poczekaniu.

Panna Amalia miała głos miły, dźwięczny, ale śpiewała bez... serca. Śliczne pieśni Schumana marzły w jej interpretacyi.

Jednak nie szczędzono jej pochwał. Alfred unosił się nad śpiewem ładnej panny.

Zdobywszy pierwszą pozycyę, ruszył Alfred ku drugiej. Otoczony gronem mężczyzn, zawiązał ożywioną rozmowę. Naturalnie, mówił o Wiedniu, a najwięcej o Polakach tam zamieszkałych.

Na pierwszym planie był hrabia R*, którego Alfred nazywał swym mentorem politycznym. Mówił poważnie, jakby sensat jaki, czasem tylko spieszniej rzucał błyskotliwe aforyzmy, które ogólnie się podobały. Tylko hrabia Z* nie ze wszystkiego był zadowolony. Właśnie te świetne frazesy ukazywały mu, że Alfred ma tylko powierzchowne wykształcenie, że nic nie zgłębiał, a bodaj czy o czem miał gruntowne pojęcie. Inni nie podzielali zapatrywań hrabiego. Ujęły ich takie np. zdania, wygłaszane przez Zagórskiego:

— Młody jestem i radbym się poświęcić dla spraw kraju; pracowałem wiele, a zdobyłem sobie już to niezłomne przekonanie, że powinniśmy iść za głosem naszych przewodników, iść w zwartym szeregu i ciągle naprzód! Z tą wiarą wracam do kraju, ażeby pracować na polu publicznych interesów i mam nadzieję, że bodaj cośkolwiek potrafię zdziałać. Zapisuję się do potężnego obozu, w nadziei, że jedna siła nie zawadzi nigdy...

Hrabia Z* nie udzielał swego sądu o nowym szeregowcu nikomu. Czekał stosowniejszej pory, chciał go zresztą poznać dokładniej. Reszta była stanowczo po stronie Alfreda.

— To nasz! — mówili starsi.

— I to dzielny!

— Dobry nabytek.

Młodzi pytali się cicho:

— Czy też będzie on i naszym?

Ktoś z bliższych Alfreda, zapewniał, że tak. Hrabia Artur znał jego życie wiedeńskie i słyszał o historyi z Kocią...

— Więc nasz!

Tego wieczoru, a raczej tej nocy, wrócił Alfred do domu zupełnie zadowolony. Mógł sobie powiedzieć: przyszedłem, zobaczyłem, zwyciężyłem!

Czyż nie miał prawa wzrość w dumę?

Zapomniał o przehulanych dniach i nocach, a za to stanęły mu w pamięci, nieliczne wprawdzie, chwile spędzone nad najróżnorodniejszymi książkami, przedysputowane w salonach hrabiego R*, lub poświęcone kilkogodzinnym posiedzeniom parlamentu.

Wszystko to olbrzymiało w jego wyobraźni. Przypominał sobie własne zdania i aforyzmy i nabierał przekonania, że może się stać wielkim, że powinien się nim stać!

Wyjątkowe zdolności, o których przez czas zabaw zapominał, wyrosły znów w własnem jego mniemaniu.

— Muszę sobie postawić cel w życiu i dopiąć go. Dość już zabaw, czas na rzeczy poważniejsze, miałżebym się dać wyprzedzić tym, którzy ledwo mierne zdolności i skąpe posiadają wiadomości?!

— Nie! Muszę się wzbić ponad innych i od dnia dzisiejszego rozpoczyna się droga do dzieła...

Jaka to droga być miała?

Alfred sam sobie jeszcze nie zdawał sprawy, ale ufał w własne siły, bo powodzenie najnowsze sobie samemu przypisywał. Wypadki miały mu wskazać sposoby — byle cel osiągnął.

Do wstąpienia na arenę publiczną brakowało mu jeszcze lat pięciu. Cóż więc teraz robić?

— Zobaczymy! — pomyślał i usnął w błogich marzeniach.

Szczęśliwy człowiek. Ilużby mu zazdrościło. Jego koledzy szkolni ślęczeli tyle lat nad książkami, dziś szukali zajęcia bodaj dla chleba, o stanowiskach wybitnych ani pomyśleli, zdolności ich i nauk nie wielbiono, nie uznawano jeszcze. A on bez pracy, zabawą doszedł już do tak wielkiego zaszczytu, że go porywano, jako najlepszy nabytek dla stronnictwa, które w prawdziwe zdolności obfitowało, do którego należeli najuczeńsi ludzie w kraju.

Bodajto być ulubieńcem fortuny i pozyskać opiekę pięknych rączek... choćby walcem Straussa.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Jak pięknem jest życie.

Jak pięknem jest życie! W urocze zjawiska,
Horyzont wszech stworzenia zawsze jest bogaty:
Tu wschodzących nadziei iskrzą się szkarłaty,
A tam ubiegłych wspomnień złoty promień tryska.

Jakże pięknem jest życie! w niezliczone skarby
Zdobią się głębie morskie i serc ludzkich wnętrza,
Lecz jedne albo drugie zanim ujmiesz w karby,
Zginie nurek najśmielszy i chęć najgoretsza.

Tak pięknem jest życie! morze chuczy z daleka,
I niewinne ofiary pochłania wytrwale,
A człowiek bryzga jadem na brata-człowieka...

O morze! dzięki za twe perly i korale...
Ludzie co nas zmuszacie ronić łzy i żale,
Ukażcie nam serc skarby chociażby z daleka!

Emilia.

MIŁOŚĆ.

Nie wystarcza w miłości kochanie, nie wystarcza rozumienie. Trzeba się czemś wywzajemnić: iskrą za iskrę, myślą za myśl.

Z tej przyczyny jako narodowość, przenoszę Francuzki nad wszystkie kobiety świata.

Niemka słodyczą, miłością i czystością dziecięcą przenosi męża do raju.

Angielka, lubiąca spokój, marzycielka, przywiązana do ogniska domowego, tak otwarta, tak czuła, tak stała, jest ideałem małżonki.

Hiszpanka chwyta za serce namiętnością.

Włoszka pięknością, stanowczością, żywą imaginacyą, porywa; często w naiwności jest wzruszającą, a jednak czyni egzystencyę niemożliwą. Jest się przy niej ciągle zachwyconym, podbitym.

Jeśli mężczyźnie potrzeba duszy, która odpowiada jego duszy, o tyle błyskawicami rozumu, o ile żarem miłości, która mu odradza serce swą czarowną żywością, wesołością, czynami odwagi, lub śpiewem ptaszka, słowem kobiety, niech weźmie Francuzkę.

Z jednem tylko trzeba się zawsze liczyć—z prędką dojrzałością. Francuzka piętnastoletnia jest tak rozwiniętą sercem i ciałem, jak Angielka ośmnastoletnia. Jest to przeważnie wynikiem wychowania, które rozwija umysł dziewicy, a pośrednio i ciało.

Muzyka tak we Francyi uprawiana, jest także ważnym czynnikiem.

Angielka oddaje się muzyce, lecz uważa ją tylko jako dopełnienie edukacyi salonu. Włoszka i Niemka, lubią muzykę dla niej samej. Dla Francuzki jest muzyka miłością sztuki. I ztąd wpływ jej na rozwój fizyczny i umysłowy.

Miłość przychodzi, muzyka przechodzi; fortepian tak dawniej lubiany zostaje osamotniony.

Młoda Francuzka nie ma olśniewającej białości płci, czystości uderzającej, powabu naiwności, wzruszającego u dziewicy niemieckiej.

Płeć żeńska i męzka we Francyi ma w sobie coś nieokreślonego.

Nawet dzieci są krwi gorącej, przedwcześnie dojrzałe. Nikt nie rodzi się młodym we Francyi, a jednak jest nim zawsze. Francuzka zadziwiająco pięknieje przez małżeństwo, podczas kiedy dziewice północy tracą świeżość przedwcześnie i więdnieją.

Bardzo mało się ryzykuje we Francyi, żeniąc się z brzydką. Jest ona nią najczęściej z braku miłości. Kochana staje się inną, w krótkim czasie pięknieje, pięknością idealną, bo opromienioną uczuciem. Trudno w niej wtedy poznać dawną istotę.

* * *

Powyższe trafne uwagi i spostrzeżenia Micheleta o kobietach, nasuwają nam myśl i pewność, że wcale nie znał — Polek. Znając nie mógłby ich pominąć, jak to w swem dziele uczynił.

A szkoda wielka, bo ciekawem by było, coby znakomity spostrzegacz-idealista powiedział o naszych pięknych paniach. Ciekawszem tem bardziej, iż wszystkie nasze kobiety, cieszą się we Francyi przysłowiowem uznaniem piękności.

Nazwano nas Francuzami północy, a jeśli kto śmiało na to miano zasłużył, to nasze panie. Temperament, spryt, elegancya, szyk — wszystko to u nas objawia się w życiu, niby echo nadsekwańskie, a jak we Francyi Paryżanki, u nas Warszawianki pierwsze zajmują miejsce pod tym względem.

I my śmiało możemy powiedzieć: niemasz na żonę lepszej kobiety, jak Polka!

To nie przesada. Wolno było zachwyconemu francuzowi zawołać tak o swych siostrzycach, dlaczegożbyśmy tego samego prawa nie mieli?

Może temu zdaniu przyzna każdy słuszność, gdy je bliżej wytłomaczymy. Otóż przedewszystkiem zdaje nam się, iż najlepszą żoną jest zawsze rodaczka. Michelet chwali Angielki, przyznaje zalety Niemkom, a jednak do wysokości ideału kobiety-żony podnosi francuzkę. Dlaczego? Ależ to naturalne — był Francuzem, więc inaczej sądzić nie mógł. To samo niech nas popiera w twierdzeniu naszem o Polkach. Dla nas one są najlepsze, najdoskonalsze.

Temperament rasowy jest udziałem zarówno kobiety, jak i mężczyzny. Każda narodowość ma pewne odrębne właściwości charakterów i temperamentów. Otóż rzecz prosta, że stadło wiążące żywego Francuza z najzacniejszą, ale flegmatyczną, sentymentalną Niemką, nie dawałoby rękojmi szczęścia takiego, o jakim zawsze myśli i mówi Michelet. Francuzka obok Anglika byłaby kwiatkiem uśmiechającym się do życia, pomieszczonym w pośród ciemnych murów biblioteki, czy też muzeum.

Polki do Francuzek w wielu względach podobne, cieszą się wielką sympatyą pomiędzy obcymi. Nie sądzimy, ażeby prosta galanterya zjednała im tak pochlebną opinię. Niezawodnie zasłużyły sobie na nią.

Z temperamentu podobne są do Francuzek, żywością mogą istotnie życie umilić, lecz obok tej, posiadają jeszcze inne, liczne bardzo zalety.

Polka łączy w sobie naiwność młodzieńczą, dziecięcą nieraz, z umysłem poważnym. Z sali balowej można ją przenieść do łoża cierpiących lub umierających, a z wesołej, czarującej damy, przemieni się w jednej chwili w najlepszą siostrę miłosierdzia. Echo nieszczęścia porusza w nim szybko strunę uczuć poważnych. Umie się bawić, lecz i pracownicą jest nieposlednią.

Nieuczona, nieobznajmiona z kwestyami najpoważniejszemi, odczuje je instynktem i zdolna jest do wytrwałego współpracownictwa przy boku mężczyzny.

Dzieje naszej kobiety ukryte są w czterech ścianach mieszkania — a jednak dzieje to ciekawe i w życiu społecznem zapisane niezatartemi głoskami.

Któż z nas, wychowanych przy boku matki, w gronie sióstr, nie zna tych dziejów. Kobiety uczą nas śmiać się — lecz i myśleć poważnie; darzą nas najroskoszniejszemi uśmiechami wesela, a gdy nam troska osiądzie na czole, gdy żałoba kirem osłoni serce, kto wtedy ból ukoi, kto go złagodzi, biorąc połowę na siebie? Kobieta, która nie ucząc się niczego, potrafi umieć wszystko, a na bóle i cierpienia posiada serce wrażliwe, *umiejące* współczuć.

Oddając naszej kobiecie uznanie, na które zasłużyła, spełniamy tylko obowiązek, a mówiąc o miłości, czyż mogliśmy pominąć tę, która ją w nas wzbudza, a sama kochać umie tak, że jej nawet Francuzka palmy pierwszeństwa nie odbierze.

POGADANKI ZE LWOWA.

II.

Albośmy się wszyscy zanadto postarzeli, albo zanadto zbiednieli, albo wreszcie zmądrzeli, dość, że bawimy się, jak mówi szlachcic z „Consilium facultatis", bez apetytu. Są to niby bale duże i małe, wieczorki „tańcujące", pikniki, reduty i różnej nazwy tańcujące eksperymenta, ale prawdziwej, szczerej zabawy nie widać. Za to znów nie brakuje reklamy; widocznie rzecz sama nie wiele warta i potrzebuje namowy lub zachęty, aby tylko sprowadzić dużo ludzi do sali, a w rezultacie coś na tem zarobić. Mówię tu o publicznych zabawach, urządzanych na różne cele dobroczynne i publiczne a zatem jako o interesie reżyserów.

Nigdzie może w świecie nie ma tyle żebrzących stowarzyszeń co we Lwowie, a każde ma sobie za punkt honoru, wyciągać pod rozmaitemi pozorami i w rozmaity sposób datki, na cele owego Towarzystwa.

Przeciętny inteligent lwowski, żeby nie wiedzieć jak wywijał się od wszelkich stowarzyszeń i pugilares na trzy kłódki zamykał, nie uchroni się od ataku. To zwierzchnik, to piękna pani, to jakaś powaga społeczna, wreszcie jego własna rodzina, skaptowana przez zarządy owych stowarzyszeń, wyciągnie mu co najmniej 40 złr. na rok. I żeby to jeszcze na cele prawdziwie użyteczne, lub filantropijne, byłby żal mniejszy; ale tu Bóg wie na co! We Lwowie już zorganizowała się poprostu kasta różnych aranżerów, która korzystając z wolności tworzenia stowarzyszeń, myśli tylko nad tem, coby tu nowego założyć, imię swoje uczynić trochę znanem, a potem manewrować, aby stworzona przez nich instytucya, mogła choćby przez rok funkcyonować, to jest, aby miała fundusz na pierwsze potrzeby założenia.

Dziesiątkami co rok umierają na suchoty podobne kreacye, żądnych rozgłosu założycieli, ale choroba ich i kuracya zawsze odbija się na kieszeni dobrodusznych członków.

O tych stowarzyszeniach, godnych pióra komedyopisarza, napiszę kiedy osobno, dziś tylko powiem, że niestety puszcza się i tutejsza młodzież ucząca się na różne tego rodzaju zarobkowe spektakle, dla przysparzania funduszu swoim bractwom, czytelniom, kółkom i t. p.

A najbardziej utartą drogą ku temu jest bal, reduta, przedstawienie amatorskie czy koncert, odczyt lub wycieczka, które skutkiem rywalizacyi z innymi stowarzyszeniami, wyczerpują umysły aranżerów, sprowadzając często bardzo niefortunne pomysły.

Nie mam nic przeciw temu, żeby społeczeństwo przychodziło z pomocą ubogiej, uczącej się młodzieży, ale niech sprawą tą zajmie się ktoś inny, a nie sama młodzież, która zamiast pilnować książki, odgrywa rolę agitatorów i aranżerów dla swej własnej korzyści. Tego rodzaju członkowie komitetów i zarządów owych czytelni, już parę, miesięcy naprzód, rozdzielają między siebie role-odbywają posiedzenia, ma się rozumieć z mówka, ni na sposób parlamentarny; potem chodzą w deputacyi do dam znaczniejszych o protektorat; potem urządzają sale, przyjmują urząd gospodarzy, wprowadzają damy, słowem grają rolę ludzi stojących na samodzielnych stanowiskach. Od sprytu a czasem i natręctwa tych panów, zależy powo-

[illegible]odzenie zabawy czy widowiska, ma się rozumieć [illegible]we, bo o to głównie rzecz idzie; ale często [illegible]a się, że robią fiasko i trzeba coś z kieszeni dołożyć. To przedwczesne obywatelstwo i dojrzałość społeczna ma to do siebie, że najprzód ściera z każdego młodzieńczego czoła najpiękniejszy puch ambicyi, dla której szlachetna bieda nieraz umiera z głodu, a ręki nie wyciągnie. Powtóre, sprowadza konieczne zaniedbanie się w nauce i przykry zawód, gdy skończywszy studya, owi panowie przywódzcy i mówcy, wejdą jako prości szeregowcy do realnego życia społecznego. Dlatego też długo potem nie mogą ani zapomnieć owego strącenia z areny publicznej na zwykły padół codziennej pracy i czują żal do społeczeństwa, że ich ocenić nie umie.

Z tego rodzaju *chybionych* rekrutują się zwykle późniejsi serwiliści, których Galicya ma tyle, że mogłaby pół Europy nimi obdzielić; powstają tak zwani tu tromtadraci, zajmujący się agitacyą polityczną przy wyborach, mówcy nieprzejednani po zebraniach, a często współpracownicy dziennikarscy, piorunujący na zgniliznę, zacofanie, egoizm i tym podobne rozkładowe czynniki społeczeństwa.

A trzeba przyznać, że i prasa tutejsza niezmiernie pomaga do tworzenia podobnej sławy młodym jej adeptom. Tak już społeczeństwo tutejsze przywykło do reklamy i wszelkiej przyjacielskiej admiracyi, że w tym karnawale wprowadziło do szpalt ogłaszanie nazwisk bohaterów dowodzących armią tancerzy. Bez tego ani rusz. Niech jaki poczciwy a zamożny rzemieślnik, albo urzędnik trochę wyższy, adwokat czy fabrykant piwa, da jakiś wieczorek, zaraz na drugi dzień stoi wydrukowane: „prowadził tańce ze zwykłą sobie sztuką, z mistrzowstwem, lub z genialną pomysłowością, ten a ten pan Fikalski, a temu pomagał ten a ten, jako adjutant, to jest niby czeladnik." Lwów nie wielkie miasto, a jednak już wydało coś dziesięciu pierwszego stopnia dowódzców i drugie tyle pomocników, których sława w tysiącach egzemplarzy dzienników rozchodzi się po całej Galicyi... Prawda, że i to jest sława, skoro potrafiła zawrócić głowy kilku łysym nawet i szpakowatym adeptom sztuki horeograficznej, czyniąc z nich pracowników na seryo w tym kunszcie. Znam jednego, który urządził formalne biuro do pracy tego rodzaju, który rysuje plany poruszeń tańcującej armii, urządza bitwy i kombinacye strategiczne o jakich się nawet Moltkiemu nie śniło. Co do mnie jakkolwiek biję czołem przed każdą umiejętnością i podziwiam łatwość z jaką galicyjski rozum z głowy coraz bardziej do nóg przechodzi, przyznaję jednak, że wolałem dawny system republikański tańców, niż dzisiejszą dyktaturę w jednej osobie. Rażą mię owe tubalnym głosem dawane rozkazy, bieganina adjutantów, podoficerskie formowanie szyków, nawoływania, zamieszanie i haos, które już nie są zabawą, ale poprostu musztrą.

Z tegorocznych zabaw we Lwowie, najlepiej wypadły tak zwane wieczory wełniane na których publiczność bawiła się tanio a wybornie.

Najwięcej hałasu i publicznego zainteresowania się dostarczył bal kostyumowy koła literackiego, który się odbył w salach kasyna mieszczańskiego, dnia 15 Lutego. Nowy zarząd koła, na czele którego stoi p. Rutowski były współpracownik „Reformy", zdaje się, że w celu także poreperowania finansów koła, urządził ów bal, który rzeczywiście sprowadził przeszło 600 osób ze wszystkich inteligentnych warstw ludności tutejszej. Arystokracya stawiła się w całym blasku i w komplecie.

Dla ciekawości czytelniczek, pozwolę sobie nieco obszerniej pomówić o tej zabawie, której głównym motorem był pochód weselny Skrzetuskiego, podług powieści Sienkiewicza „Ogniem i mieczem", równie jak i krakowskie wesele urządzone przez osoby liczące się do śmietanki lwowskiego towarzystwa.

Już o 9 godzinie sala była pełną; aby zobaczyć pochód, piękne panie nasze, odstąpiły od zwyczaju spaźniania się na bale. Mięszanina wojskowych mundurów, czarnego stroju cywilnych i różnokolorowej barwy sukien pań, przyjemne czyniła wrażenie, wśród bogato aksamitem ponsowym udekorowanej sali, a blade światło gazowe odbijając się w licznych załamach luster, rozwieszonych dokoła, w czarodziejski sposób zwiększało obszar i tłumy krążące w różnych kierunkach. Niech tam kto co chce mówi, lecz artystyczne urządzenie przybytków balowych, dodaje wiele uroku i efektownego nastroju zgromadzeniu, młode tancerki ośmiela, starsze podnosi w powadze, a z mężczyzn ściera ów tynk powszedniości i pewnego dziś praktykowanego zaniedbania. Dodając do tego przepych stroju ludzi bogatych, którzy wystąpili z całym zasobem kosztownych klejnotów, rzucających snopami iskry do koła, przyznacie, że oczekiwany pochód miał tło odpowiednie i musiał wywołać powszechną adoracyę.

Po przetańczeniu poloneza, usłyszano z sąsiednich sal kasyna poczciwą i domorosłą muzykę grajków wiejskich, krzyczące skrzypeczki, huczące basy i swarzący się klarnet. Po schodach z górnej sali spuścili się owi grajkowie, a za nimi dziesięć par krakowiaków z brzękiem, stukiem, chrzęstem i ogniem. Wpadło to wszystko z impetem na środek sali i dalejże krakowiaka z różnemi figurami i okolicznościowym śpiewem, który chór tancerzy powtarzał. Po krakowiaku nastąpił ochoczy krakowski mazur, a po mazurze kujawiak na odsiebkę...

Kompletu owych krakowiaków dostarczyła sama arystokracya, bo znaleźli się tu Potoccy, Platerowie, Badeniowie, Baworowscy i t. p., a co dziwniejsza, między krakowiankami księżna Turn-Taxis, niemka z rodu, osoba nadzwyczaj miła, zgrabna i tak zapamiętała krakowianka w tańcu, że nikt by nie poznał, iż jest cudzoziemskiego pochodzenia. Krakowiacy tedy spisali się dzielnie, z werwą i zapałem, bez wszelkiej jednak rubaszności; strój ich piękny i ze smakiem nie dawał powodu do żadnego zarzutu.

Gdy ucichły tony grajków wiejskich, odezwał się marsz koronacyjny z „Proroka". Wystąpili heroldowie, oznajmiwszy przy odgłosie fanfary: „że pan Skrzetuski przyjechał". I wtoczył się świetny pochód około 60 osób w kostyumach ściśle historycznych z XVII wieku. Był tu Skrzetuski z Heleną, Jeremi Wiśniowiecki, Radziwił, Bohun, Zagłoba, Podbipięta, wreszcie sam król, nie licząc wspaniałego orszaku w ludowych i mieszczańskich strojach owego czasu, ze wszystkich ziem polskich i ruskich. Byli i rycerze w pancerzach i sławny Tuchaj-Bej i nasi Krakusi zamykający orszak, który z miną poważną a uroczystą, przy powszechnym podziwie wszystkich, trzy razy okrążył salę.

Nie należę do tych, którzy lada czem zachwycać się zwykli, lecz przyznaję, że ten zmartwychpowstały orszak, uczynił na mnie podniecające wrażenie i wywołał mimowolny żal, że to wszystko... Ale dajmy pokój westchnieniom, a wróćmy do balu, który dopiero około 12 godziny wszedł na zwyczajne tegoczesne tory. Wśród ścisku, gorąca i dziwnie odrodzonej wesołości, szły tańce ochoczo. Mozajkowa pstrokacizna kostiumów, dawała niezwykły widok rozmaitości, pełnej wdzięku, zwłaszcza, gdy nie brakowało czarodziejek lwowskich, mogących poruszyć nietylko serca kawaleryi, ale kamienie młyńskie...

Wśród dogorywającego karnawału, gotuje się Lwów na nową uroczystość — pierwsze przedstawienie nowej opery Żeleńskiego „Konrad Walenrod". Podług zapewnień wtajemniczonych, zapowiada się ona świetnie, choć siły do jej wykonania przeznaczone, nie można uważać nawet w lwowskim teatrze za pierwszorzędne. Kraków odgraża się na tą uroczystość przyjechać osobnym pociągiem; świat muzykalny z Wiednia, Berlina i Warszawy wysyła specyalnych sprawozdawców, a ja jestem również zadowolony, że czytelniczki moje z Tygodnika będą miały dyletancką krytykę owej opery, ma się rozumieć, jak ją usłyszę. Tymczasem cieszmy się wszyscy, bo jeżeli o nas po świecie coraz mniej słychać, to przynajmniej sztuka nasza we wszystkich działach imponuje i dank odbiera.

Z pod naszej strzechy.

„Kuryer Codzienny", o którego projekcie, założenia przytułku dla ubogiej dziatwy, starszej nad lat siedm, niedawno mówiliśmy, nie zasypia sprawy, lecz popiera je żarliwie. Rzucił myśl pożyteczną, której należy życzyć jak największego powodzenia, a w ślad za tem odszukuje źródło pieniężnego zasiłku dla projektowanej instytucyi.

Nie ma jeszcze wprawdzie komitetu, któryby się projektem i jego urzeczywistnieniem zajął, lecz nie wątpimy, iż rychło się zawiąże, a wówczas powinien skorzystać z rad „Kuryera". Otóż pismo to proponuje, ażeby na rzecz przytułku zbierać „nieużytki", które dla nas nie mają żadnej wartości, a jednak w wielkiej masie spieniężyć się dadzą. Skrawki papieru, stare gazety, zniszczona odzież, obuwie, wszystko to zasila najczęściej śmietniki (mało ich jeszcze mamy!), nieprzynosząc posiadaczom w zysku nic. A jednak i na ten towar znaleźliby się nabywcy hurtowni i jeszczeby coś na nim zyskali.

Nie jest to bynajmniej mrzonką i gdzieindziej tak się praktykuje. Na dowód przytoczyć warto pokaźną cyfrę, którą w roku ubiegłym zebrało za takie nieużytki petersburskie towarzystwo pomocy dla biednych dzieci. Cyfra ta wynosi 6,362 rubli!

Wartoby więc i u nas chwycić się tego sposobu, a niezawodnie przyszła instytucya zarobiłaby niemało.

Środek ten ma jeszcze jedno ważne znaczenie. Oto pozwoliłby instytucyi rozwijać się pomyślnie, bez wielkiego obciążania kieszeni dobroczyńców. Aż dotąd wszystkie dobroczynne instytucye opierały się li tylko na ofiarności publicznej, dla jednostek dość kosztownej, dla zakładów zawsze za małej. Bieda gdzie spojrzeć, a o grosz coraz trudniej.

Tymczasem projekt „Kuryera Codziennego" nie zaciąży nikomu. Nie dając nic — damy wiele.

Toż samo pismo zamieściło wielce ciekawy fejleton p. t. „Nierozwaga krytyków”, w którym bardzo spokojnie z wielką godnością wykazuje szkodliwy wpływ fałszywej krytyki na rozwój sił artystycznych naszej sceny. Pomijając stronniczość w zwykłych warunkach, krytyka miewa chwile, w których prawie jednogłośnie krzywdzi cały prawie personel teatralny, z wyjątkiem dwóch sędziwych potentatów. Chwile owe stanowią gościnne występy znakomitości. Wówczas blask wielkości oślepia krytyków, nie widzą po za osobą gościa nic i nikogo, padają na kolana i wołają: tyś tylko jedna godna uwielbienia, reszta to karły, o których mówić niewarto, lepiej, żeby ich wcale nie było! Zapominają, iż stali aktorzy pracują lata całe wytrwale, służą publiczności w każdej doli, a gwiazda błyśnie na chwilę i znika. Czyż ci wierni pracownicy niegodni są uznania?

Autor fejletonu przypomina słowa jednego z recenzentów warszawskich, napisane w roku ubiegłym, po ukazaniu się pani Popiel-Święckiej na koncercie. Znakomita i nad wyraz sympatyczna artystka, wygłosiła wiersz Asnyka, a to wystarczało recenzentowi, aby napisać: „słuchając tej deklamacyi, chciałoby się przekreślić trzyletnie dzieje teatru”.

Toż samo działo się podczas występów Modrzejewskiej. Ale czy godziwie?

Chyba nie.

Znakomitość, w jakimkolwiek kierunku, ma to do siebie, że niepotrzebuje porównań, wprowadza nas w zachwyt, zmusza do pochwał. Ale czyż zaraz trzeba innych ganić?

Bynajmniej. Tylko sztuczne wielkości podnoszą się przez obniżanie ogólnego poziomu otoczenia. Gdy kogoś gwałtem chcemy zrobić wielkim, spychamy tych, co go otaczają jaknajniżej, aby głowa naszego protegowanego widniała z dala.

Ani Modrzejewska, ani Popiel, niepotrzebują tą drogą dochodzić do sławy, a głos wielbiący, zmięszany z zgrzytem krzywdy, musi być dyssonansem.

A jednak większość recenzentów dała niedawno nowy dowód, iż nie umie się pozbyć tej przywary. Autor rzeczonego fejletonu nawołuje do odwrotu z błędnej drogi. Oby nie był głosem wołającego na puszczy.

Przesada jest wadą szkodliwą, a że nią często grzeszymy w uwielbianiu scenicznych wielkości, to pewna. Oto jak „Prawda” opisuje fakt niedawno spełniony:

„W sali ratuszowej tłoczyła się masa ludzi, która rozpychała ściany dołu i wywoływała trzeszczenie galeryi. Twarze po większej części wycieńczone karnawałowym trudem, nogi stańcowane, ciało omdlałe, a jednak widzisz na twarzach migający odblask ukrytej w sercu nadziei, roskosznej myśli, która spodziewa się szczerego zadowolenia. Występują na estradę po kolei ludzie i geniusze, próbujący zyskać dla siebie bodaj po cząstce miłości tego zgnieconego i spoconego tłumu. Daremnie. Zarówno Rubinstein jak Górski, zarówno Gounod jak pani Szlezygier-Kamińska, odchodzą pokwitowani skromnym oklaskiem. Nareszcie... burza, straszna burza głosów, jak gdyby z tysiąca piersi wydarł się długo tłumiony krzyk zachwytu, szczęścia, rzewnej radości. Kto siedział, lub stał bez afisza, a zostaje pod wpływem ostatnich telegramów, ten polecił duszę Bogu; kto wierzy w cuda, sądził przez chwilę, że Sobieski opuścił most przy Łazienkach i na swym kamiennym koniu wjechał do sali ratuszowej. Ale zdumionych było niewielu; masa przewidywała ten uragan krzyku, tę ulewę oklasków.

Na estradę weszła pani Popiel-Święcka z Modrzejewską. Urodzonemu warszawiakowi wiadomo, jaki wybuch zdolna sprawić sama pani Modrzejewska. Proszę do tego grzmotu dodać eksplozyę uczuć, gromadzących się przez lat kilka dla niewystępującej już na scenie p. Popiel-Święckiej. Takiej salwy nie słyszał ani Herkules po załatwieniu wszystkich siedmiu robót, ani Achilles po zabiciu Hektora, ani Kolumb po odkryciu Ameryki, ani nawet Mierzwiński po zwycięzkiem wzięciu *cis*. Grano „Iskierkę” — ale ktoby tam zważał na treść przedstawienia! Wszystko jedno! Gdy dawno niewidziana artystka w roli swej westchnęła: „ah, teatr, ah, scena!..” zagrzmiał w sali taki krzyk, ze mieszkańcy najbliższych planet zostali z pewnością zaniepokojeni i zapisali w swych rocznikach astronomicznych wiadomość o zagadkowym huku w przestrzeni. Ha, niech wiedzą, trutnie, jaka w nas siła!...”

Kiedy już o popisach artystycznych mowa, nie godzi się zapomnieć o artystach młodych jeszcze, a od niedawna popisujących się publicznie. Są to grajkowie wiejscy z lubelskiego, którym pewno ani się marzyło, że kiedy będą zbierali oklaski publiczności.

Mamy tu na myśli orkiestrę włościańską, pod dyrekcyą pana Namysłowskiego, która obecnie popisuje się w miastach gubernialnych i cieszy się ogromnem powodzeniem. Pan N., syn obywatelski, zamiłowany muzyk, kompozytor, zgromadził około siebie dwudziestu młodych chłopaków, od czternastu do dwudziestu lat i w chwilach wolnych od roboty uczył ich grać. Wieśniakowi do skrzypek zawsze dusza się śmieje, ale nie wiedziano, że potrafi się wyrobić na członka orkiestry, pilnującej harmonii i taktu. A jednakże tak się stało.

I oto po dwuletniej nauce, przerywanej ciężką pracą rolniczą, wiejscy grajkowie mogli śmiało stanąć przed wybredną nawet publicznością. Orkiestra ustrojona w wieśniacze świty, wygrywa zamaszyście: krakowiaki, kujawiaki, oberki i mazury, a publiczność porwana zapałem nieszczędzi oklasków, dobrze zasłużonych.

Na zakończenie, słówko do jednego z naszych kolegów.

„Dziennik dla wszystkich”, mówiąc o pewnym literacie, zamieszkującym w Warszawie stale od lat kilku i czyniąc mu ogólnikowe, na niczem nie oparte zarzuty, dodaje, że te wady są *wspólne wszystkim galicyaninom.*

Po raz drugi w podobnej sprawie zabieramy głos, sądząc, iż obowiązkiem naszym jest prostowanie błędów, może bez rozmysłu popełnionych. Gdyby zarzut podobny uczyniono ze złą wolą (nie o osobę nam idzie, lecz o kwestyę ogólną), wówczas postępek taki nazwalibyśmy niegodziwością.

Sądzimy, że zamknięcie się w granicach prowincyonalizmu, jest niesłychanie ciasne, wnioskowanie na podstawie separatyzmu, gdzie idzie o pracę umysłową, literacką, staje się zacofaniem, śmiesznością.

Ależ panowie szanowni, w Galicyi nie rodzą się ludzie na inną miarę, aniżeli gdziekolwiek na świecie, lub np. w Warszawie... bo ludzie nie — buty. Bóg przychodzącym na świat galicyaninom (!!) nie wlewa duszy z specyalnego jakiegoś naczynia, przepełnionego *giętką* gumą, której nibyto poskąpił warszawiakom. Przeciwnie, zdawało nam się, że pomiędzy naszemi duszami nie ma różnicy.

A wam czyż się zdaje inaczej?

Chyba na seryo nie i nie zechcecie poważnie zrobić komuś zarzutu z tego tytułu, że urodził się w Galicyi. Miałożby to być nieszczęściem?

Dajmy pokój igraszkom...

Szczery żal kierował piórem naszem, bo nam żal zawsze, gdy koledzy błądzą, a mogliby i powinni tego nieczynić. Toż tu zasada tak jasna, tak prosta, tak łatwo się nią rządzić...

PRZEGLĄD LITERACKI.

Felicyana, Utwory powieściowe. Warszawa, u Gebethnera i Wolffa, 1884 r., tom I-szy.

Pierwszy tom zbiorowego wydania utworów powieściowych sympatycznego autora, znanego pod pseudonymem Felicyana, obejmuje jego prace dawniejsze, dziś już mało komu znane. Pierwsze np. dzieło „Z daleka i z blizka”, ukazało się po raz pierwszy przed laty trzydziestu i zjednało autorowi rzetelnie zasłużony rozgłos; lecz nie dziw, że przez tak długie lata zatarło się w pamięci — młodszym nie mogło nawet być znane. A jednak praca ta godna jest poznania.

„Z daleka i z blizka” należy do najpiękniejszych prac Felicyana, a w literaturze naszej zajmuje poczestne miejsce. Jest to pierwsza może u nas powieść, napisana z prawdziwym realizmem, malująca życie ze ścisłością fotograficzną — a jednak jakże piękna. Czytając ją doznajemy wrażenia, jakbyśmy na rzeczywistość patrzali; życie odsłania się przed nami i to życie ludzi, na których prawie nigdy nie zwracamy uwagi. Z nieznaną dawniej plastyką przedstawił autor ludzi i sytuacye, sam się usunął zupełnie, ukryty porusza tylko sprężynkę i pod jej naciskiem obrazy przesuwają się, jedne giną, następują inne. Po nad tem wszystkiem unosi się tchnienie najczystszej poezyi dusz prostaczków, którzy pod stwardniałą piersią ukrywają gorące serca. Sami nie wiedzą, że serca mają, a jakże piękni z tą naiwnością!

Powieści Felicyana mogą być postawione za wzór realizmu szlachetnego, takiego jaki konieczny jest w utworach artystycznych. Bez niego powieść byłaby bajką tylko.

Zwracamy uwagę na język Felicyana, który pod piórem autora nabiera dziwnej giętkości, podatności, staje się materyałem do doskonałego uplastycznienia obrazów.

Obok utworu pierwszego, wymienić musimy doskonały obrazek z życia warszawskiego „Świetne widoki pani Marcinowej”. Łzy i uśmiechy prawdziwego humoru, splatają się tu na oświetlenie jednego z tych pospolitych faktów, które tak często notują brukowe pisemka. Zacnej, ale głupiej przez zbytnią ufność i chęć wywyższenia się kobiecie, wydziera młody oszust córkę. To cała treść powieści. A ileż tam ciekawych szczegółów, ile scen charakterystycznych!

Felicyan jest znakomitym obserwatorem i malarzem rodzajowym. Pod tym względem niewielu mu dorówna...

Rozpisywać się obszernie niemożemy w krótkiej notatce. Niech tych kilka uwag ogólnych, a pochwalnych, będą wyrazem uznania dla zasłużonego autora.

WIADOMOŚCI Z KRAJU.

*** Grono poważnych obywateli kieleckich, zajmuje się utworzeniem kasy rzemieślniczej. Będzie to silna dźwignia dla naszych prowincyonalnych rękodzielników, których brak gotówki do pracy zniechęca, lub rzuca w ręce lichwiarzy.

*** Nasi artyści-malarze krzątają się około zebrania pięknego albumu, na pamiątkę 25-letniej działalności artystycznej Józefa Brandta. Uroczystość wręczenia tego upominku ma nastąpić 19-go marca, w dzień imienin jubilata.

*** „Dziennik Łódzki", pismo starannie redagowane i bardzo pożyteczne, przestał wychodzić. Jest nadzieja, że po pewnej przerwie wydawnictwo zostanie napowrót podjętem. Mówią, iż grono ludzi zacnych chce to wydawnictwo stale subwencyonować.

*** Obywatele miasta Płocka zamierzają podobno wznieść zmarłemu biskupowi ks. Borowskiemu pomnik.

*** W Paryżu zmarł były profesor warszawskiej Szkoły Głównej, Adam Prażmowski. W kole uczonych cieszył się zmarły zasłużonem uznaniem.

*** Według ostatnich obliczeń, znajduje się w Królestwie 1,695,000 morgów ziemi w rękach niemieckich.

*** Galicyjski wydział krajowy ogłasza konkurs literacki z zapisu ś. p. Franciszka Kochmana. Do nagród (pierwsza 1,000 złr., druga 500 złr.) mają prawo dzieła już ogłoszone drukiem, lecz nie dawniej, jak w ciągu ostatnich lat dziesięciu. Termin nadsełania dzieł oznaczono na 31 Marca 1888 r. Również dzieła autorów nieżyjących mogą rodziny nadsełać komisyi konkursowej, jeżeli od śmierci autorów nie upłynęło więcej aniżeli 3 lata. Gdyby zaś dzieła tychże autorów pozostawały dotąd w rękopismach, nagroda zostanie przeznaczoną na ich wydrukowanie.

*** Projekt wybudowania w Warszawie nowego teatru, na Placu Zielonym, został przez ministerstwo zatwierdzonym.

*** Wystawa kucharska w Warszawie, została odłożoną do maja.

*** W Krakowie otwarto wystawę konkursową modeli na pomnik Mickiewicza. Komitet, mający rozstrzygać o pierwszeństwie nadesłanych projektów, chcąc zasięgnąć zdania publiczności, umieścił w sali wystawy skrzynkę, do której wolno każdemu wrzucić bilet z oznaczeniem numeru modelu najlepszego. Tak więc szerokie koła publiczności mają prawo wyrażania swego zdania. Czy to ułatwi zadanie sędziów — to inna kwestya.

*** W roku bieżącym upływa:

Od wydania pierwszego kalendarza polskiego w r. 1250, przechowanego w archiwum kapituły krakowskiej, upływa w r. b. lat 635.

Od napisania przez Polaka, Ciołka (Vitelio) dzieła optycznego „Perspectiva magna" w r. 1270, przechowanej w bibliotece Medycejskiej we Florencyi, upływa lat 615.

Od pierwszego założenia uniwersytetu krakowskiego w 1364 r. przez Kazimierza W., upływa lat 521. Od powtórnej fundacyi uniwersytetu krakowskiego, przez Władysława Jagiełłę w roku 1400, z funduszu zapisanego przez królową Jadwigę i zwanego dotąd Jagiellońskim, lat 485.

Od przyjścia na świat Kopernika, lat 410.

Od założenia uniwersytetu królewsko-warszawskiego, w roku 1816, lat 69.

WIADOMOŚCI Z ZAGRANICY.

*** Anoculoscope. Takie miano nosi przyrząd, wynaleziony niedawno przez inżeniera Grin w Paryżu.

Wynalazca aparat swój nazwał przyrządem do widzenie dla ślepych, przez dotykanie.

Według zapewnień autora, odtąd za pomocą tego cudownego przyrządu, ociemniali będą mogli czytać książki, drukowane dla widzących, a także oglądać rysunki.

Rezultaty, jakie miano osiągnąć z przyrządem, są nieprawdopodobnie pomyślne — a że nie jest to tylko blagą, najlepszy dowód w tem, iż wynalazca otrzymał za swój pomysł medal bronzowy, na wystawie elektrycznej.

Broszurka z opisem przyrządu, nadejdzie niedługo do Warszawy.

Jak się dowiadujemy, podobno sam przyrząd ma być sprowadzony do naszego miasta.

*** Kartka z dziennika Elżbiety Woodville, która następnie, jako wdowa po Janie Grey została w r. 1465-ym małżonką króla Anglii Edwarda IV-go, zachowała się dotychczas i daje charakterystyczny obraz sposobu, w jaki młode dziewczęta spędzały dzień w XV-ym wieku: „Poniedziałek, dnia 9-go marca: Wstawałam o godzinie 4-ej i doiłam krowy z Katarzyną. Następnie ubijałam masło z Rachelą, poczem robiłam dla niej okład, albowiem sparzyła sobie rękę. Godzina 6-ta: Mięso wołowe było zanadto wygotowane, muszę być uważniejszą. Godzina 7-ma: Rozdzielałam wraz z matką jedzenie służbie. Godzina 8 ma: Czesałam konia mojego, Thumy, co trwało dwie godziny. Godzina 10-ta: Jadłam obiad. Jan Grey jest bardzo grzeczny dla mnie, ale mało jada. Godzina 11-ta: Poszłam na przechadzkę i obejrzałam pola Jan Grey nie opuścił mnie i ścisnął mi dwa razy rękę tak, że mi aż łzy stanęły w oczach i o mało nie krzyknęłam. Jest doprawdy bardzo miły, chodzi też co-niedziela do kościoła. Godzina 3-cia: U dzierżawcy naszego Robinsona wybuchł niespodziewanie pożar, który jednak niebawem ugaszony został. Jan darował mu 4-ry funty. Godzina 6 ta: Karmiłam bydło w oborze i drób. O 7-ej dopiero jadłam kolacyę. Gęś była zanadto wypieczona, a wieprzowina przypalona. Matka wyłajała mnie ostro, a przecież Jan temu winien; jest jednak dobrym i ładnym młodzieńcem. O godzinie 9-ej położyliśmy się wszyscy spać..."

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Józefie K. O ile w tej sprawie możemy być poinformowani, za sumę przez Panią oznaczoną, pianina dostać niepodobna, chyba byłoby bardzo liche. Co najmniej dwa razy tyle będzie kosztowało i to nie na składzie, lecz u osób prywatnych. Wiadomość w tym względzie można zasięgnąć za pośrednictwem ogłoszeń, których najwięcej pomieszcza „Kuryer Warszawski".

Prenumeratorkom z nad Judry. Kroje otrzymujemy z Paryża, więc nie od nas zależy ich układ. Dajemy je w takim porządku, w jakim nas dochodzą.

Panu Kazimierzowi L. Wiersz p. t. „Trzy drogi" nie będzie drukowany. Myśl dobra, lecz nieujęta w piękną formę i słabo rymowana.

Od Redakcyi.

Druk zapowiedzianych czterech powieści historycznych dla dzieci, niebawem się ukończy, prosimy więc o jaknajrychlejsze nadsełanie przedpłaty, która wynosi:

W Warszawie 1 rs.

Na prowincyi, w Cesarstwie i zagranicą, z przesyłką 1 rs. 15 kop.

Jest to cena niesłychanie nizka, gdyż wszystkie cztery powieści obejmą trzydzieści kilka arkuszy pięknego druku.

W księgarniach i dla tych, którzy przedpłaty z góry nie uiszczą, cena czterotomowej seryi będzie 2 rs.; z przesyłką 2 rs. 15 kop.

Zawiadamiamy przytem, że nowoprzybyli prenumeratorowie mogą nabywać zeszłoroczne premium (oleodruki), jak długo zapas starczy, po cenie:

Premium „Tygodnika Mód i Powieści" w Warszawie 30 kop.

Z opakowaniem i przesyłką 60 kop.

Premium „Przyjaciela Dzieci", w Warszawie 15 kop.

Z opakowaniem i przesyłką 40 kop.

Adres: J. K. Gregorowicz, w Warszawie, Widok Nr 3.

ZAWIADOMIENIA.

Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 13 Февраля 1885 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego. Warszawa, Chmielna Nr 20.

Dodatek.

Opis do N-ru 8.

(*Dokończenie.*)

N. 24 i 28. Ubranko dla młodej mężatki.

Podstawa ze sztywnego tiulu oszyta drucikiem, objęta wstążeczką, liczy w środku 8 i pół, w końcach 3 centym. szerokości; obwód przedniego brzegu mocno zaokrąglonego wynosi 32 cent., tylnego 18 centymetrów. Ryc. 28 przedstawia w połowie naturalnej wielkości riuszę zakończającą brzeg przedni, układaną w kształcie listków, z wstążki ottoman 2 i pół cent. szerokiej; na każdy listek potrzeba około 15 cent. Środek czepeczka zajmuje marszczona koronka 10 cent. szeroka; pierwszy rząd liczy 47 cent., zwierzchni zaś 42 cent. Kokarda z wstążki ottoman 5 cent. szerokiej, składa się z czterech pukli po 9 cent. długich; z tyłu po za kokardą zmarszczone dwa kawałki koronki po 40 cent. długie. Końce z wstążki 3 cent. szerokiej liczą 92 i 110 cent. długości.

N. 29—30 i 16. Suknia z upięciem à la paysanne. Patrz ryc. 27 w N-rze 7.

Ryc. 16 przedstawia spódnicę odpowiednią do upięcia rozmaitego rodzaju, przykrojoną podług miar wypisanych na ryc. 28 w N-rze 7. Upięcie à la paysanne przedstawione z przodu na ryc. 29, z boku na ryc. 30, wymaga dwóch odpowiedniej długości brytów, po 300 cent. u dołu, 240 u góry szerokich. Obydwa bryty są przy górnym brzegu kilkakrotnie przemarszczone i w ten sposób o kilka cent. poniżej paska przyszyte na spódnicy, że brzegi boczne środkiem przodu i pleców gładko spuszczone, zachodzą u dołu jeden na drugi na 50 cent. szeroko. Brzegi boczne zachodzące pod spód w całej długości przyszywają się do spódnicy, zaś brzeg zwierzchni z przodu sfałdowywa się ściśle i podnosi podług ryc. 29 aż do zmarszczenia, a tylny fałduje podług ryc. 30 i przyszywa do paska. Stanik z krótką okrągłą baskiną, zapięty z boku na guziki.

N. 31. Suknia z szarfą.

O ile spódnica podszewkowa widoczna jest z pod tuniki, objęta jest plisą aksamitną, z przodu zaś dany wązki bryt sięgający aż do góry. Zwierzchnia spódnica z brzegów kilkakrotnie przestębnowana, z boków złożona w kontrafałdy, z tyłu ściśle sfałdowana. Szarfa aksamitna przewleczona przez przecięcia dane w sukni, związana z tyłu w sutą kokardę, ma końce spuszczone podszyte atłasem. Stanik ścięty bawetowo ma plastron, kołnierzyk i mankiety aksamitne.

N. 32—33 i 22—23. Deseń na poduszkę lub podnóżek. Wyszycie na kanwie ściegiem w węzły.

Ryc. 32 przedstawia wyszycie w zupełnie nowym rodzaju, odznaczające się pośpiesznem wykonaniem. Deseń wyszyty jest na bardzo grubej dzielonej kanwie, włóczką smyrneńską, ściegami skośnemi łańcuszkowemi, wiązanemi podług ryc. 22 na czterech nitkach w kwadrat. Kolory włóczek objaśnia ryc. 23.

N. 34. Suknia z krótką draperyą.

Uszyta z materyału wełnianego voille, żółtawego koloru, ma spódnicę zaplisowaną naprzemian w drobniutkie i szersze fałdy, zmieniane co 12 centym. Tylne upięcie dane z dwóch brytów po 120 cent. szerokich, 130 długich; przednia draperya ułożona z bryta 150 cent. długiego, 116 szerokiego, z brzegów poprzecznych sfałdowanego do 22 cent. i wpuszczonego w szwy sukni, z jednego boku wysoko podpięta węzłem pluszowym, z drugiej strony spada dłużej.

N. 35. Ubranie strojne dla młodej panienki.

Spódniczka uszyta z prostych brytów białej virginie, zmarszczonych w górze, ozdobiona naszyciem z różowej aksamitki 5 cent. szerokiej. Zgrabne, świeżym fasonem odrobione vêtement, daje się na podszewce dobrze dopasowanej, zapiętej z boku, sięgającej tylko po za wcięcie stanu. Fałdowany plastron kraje się w jednym ciągu z częścią paniers, idącą na wierzch, lewa strona ma dodane paniers z oddzielnego kawałka. Zwierzchni kaftaniczkowy staniczek z różowego aksamitu rozchodzący się szeroko, złączony jest dwoma patkami; wyższa odznacza kwadratowy wykrój szyi. Półdługie rękawki z virginie; dwa bukieciki przy staniku, trzeci zdobi głowę.

N. 36. Sukienka z bluzkowym stanikiem.

Bluzka zapięta z tyłu na guziki, uszyta na gładko do figury dopasowanej podszewce, nie ma w materyale zwierzchnim danych zaszewek z przodu, lecz jest kilkakrotnie przemarszczona w pasie. Spódnica złożona w potrójne kontrafałdy, u góry przysłonięta jest fałdzistą draperyą, podpiętą z boku kokardą. Tylny bryt prosty podpięty w bufę u góry, niżej puszczony jest luźno. Szeroka koronka oszywająca przód draperyi, służy na kołnierz i mankiety.

N. 37. Ubranie strojne wizytowe.

Stanik z materyi faille zapięty z przodu na haftki, ma plastron morowy uszyty na oddzielnej podszewce, z jednego boku przyszyty stale, z drugiego przypięty na kryte haftki. Chusteczkowy garnirunek z koronki z tyłu przyszyty przy kołnierzyku stojącym, z przodu spuszcza się brzegiem plastronu. Koronka marszczona odwinięta w górę stanowi mankiety. Odpowiednio do plastronu spódnica uszyta jest z moiré antique, zakończona riuszą z koronki lub materyi; stanik draperya i tren z materyi faille.



N. 1—2. Ubrania spacerowe.

N. 1. Ubranie z krótkiem okryciem. Forma okrycia na dodatku z krojami N. XI, fig 55—57a. Widok sukni z tyłu na fig. 94.

N. 2. Ubranie z vêtement. Krój i widok pleców na dodatku z krojami N. X, fig. 48—54.

N. 38. Szalik koronkowy jako zarzutka na głowę.

Szalik 195 cent. długi a 44 cent. szeroki, zszyty z wełnianej białej koronki 8 i 10 cent. szerokiej. Jak to ryc. 38 przedstawia jeden koniec stanowi zarzutkę na głowę, upiętą na podstawie ze sztywnego tiulu 25 cent. długiej, a 4 cent. szerokiej, poszytej materyą. Kokarda z morowej wstążki 10 cent. szerokiej, składa się z pukli po 6—9 cent. długich. Pozostała część szalika otacza szyję i przerzucona jest przez ramię.

N. 39. Kapelusz z wysoką główką.

Fasonik z główką 13 cent. wysoką a 12 szeroką i z rondkiem odwiniętem 2 cent. szerokiem, pokryty jest czarnym aksamitem. Przybranie stanowi aksamit i biała wełniana koronka złotem przerabiana, 9 cent. szeroka, przypięta ozdobnemi szpilkami.

Opis do N-ru 9.

N. 1—2. Ubrania spacerowe.

N. 1. Ubranie z krótkiem okryciem. Forma okrycia na dodatku z krojami N. XI, fig. 55—57. Plecy sukni fig. 94.

Na modelu suknia odrobiona była z ciemno-popielatego sukna, a okrycie z aksamitu gładkiego i broszowanego w takim samym kolorze. Z gładkiego aksamitu daje się zwierzchnie części rękawów, części spodnie tychże przykrojone razem z przodami i fałdowaną falbanę, podszytą kolorowym atłasem, której długość i szerokość oznaczona jest na formie rękawów. Aksamit broszowany służy na przody i na plecy wraz z fałdowaną baskiną fig. 56. Części okrycia zeszyć trzeba podług jednakowych liter. Na fig. 94 podana jest suknia bez okrycia; na draperyę potrzeba bryta 110 cent. szerokiego a 475 cent. długiego, którego brzeg poprzeczny ściśle sfałdowany, przyszywa się z prawej strony i układa w skośny ząb, na przednim brycie spódnicy, pokrytym plisami 13 c. szerokiemi; z lewego boku dla podpięcia przecina się bryt draperyi, od dołu w górę na 75 cent., następnie fałduje go się w górze i układa podług fig. 94, a z boku zakończa potrójną kontrafałdą, w górze 18, u dołu 35 cent. szeroką. Na kontrafałdzie naszyte są w odstępie 5 cent. patki aksamitne, 6 cent. szerokie, ozdobione guzikami ażurowemi, metalowemi. Kołnierz, kamizelka, mankiety i obłożenie baskiny z aksamitu.

N. 2. Ubranie z vêtement. Krój i widok pleców na dodatku z formami N. X, fig. 48—54.

Na fig. 48—52 dajemy w naturalnej wielkości formę stanika do vêtement, a na fig. 53 mały model i miary dopełniającej go draperyi. Cienka linijka na fig. 48 oznacza formę prawego, na wierzch zachodzącego, skośnie zapiętego przodu. Bryty draperyi zeszywa się razem, fałduje w górze i z brzegów bocznych podług znaków, i przyszywa szwem odwracanym na brzegu stanika, a następnie dodać bryt od spodu z prawego boku i podpiąć draperyę w sposób wskazany na ryc. 2 i fig. 54. Brzeg draperyi zdobią zakładki stopniowanej szerokości od 2 1/2 do pół cent.; spódnicę, która do fig. 54 była z gładkiego aksamitu, zdobią fałszywe 4 cent. szerokie zakładki, naszyte na sztywnym muślinie i pletnie od 2 do pół cent. szerokie. Stanik skośnie zapięty na kryte haftki, zdobi przyszyty do prawego przodu pas zakładek, a plecy naszyte są pletnią.

N. 3—21 i 22 oraz ryc. 1—11 i 32—36 w N. 10. Garderoba i sprzęty dla małego dziecka.

N. 3. Waga z koszykiem.

Ryc. 3 przedstawia wagę z lanego zelaza, na której przytwierdzony jest ozdobny koszyk z dnem watowanem i poduszeczką pod głowę, w któren wkłada się nowo narodzone dziecię, dla przekonania się o ile ciałka i sił mu przybywa.



N. 3. Waga dziecinna z koszykiem.

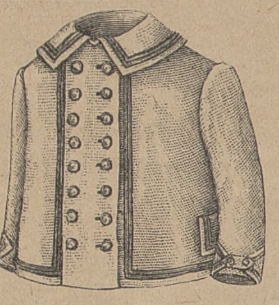


N. 4. Kaftaniczek dla niemowlęcia robiony na drutach. Zobaczyć ryc. 20 i 22. Krój N. XIV, fig. 66—67.

N. 5. Kaftanik batystowy dla niemowlęcia. Krój podług formy do ryc. 13.



N. 6. Śliniczek haftowany. Krój N. IX, fig. 36.

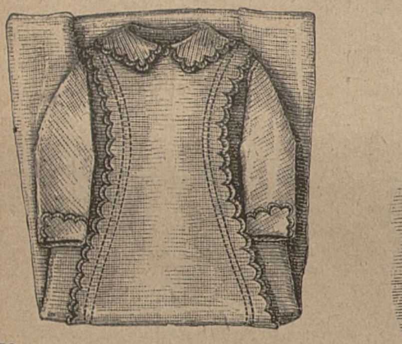


N. 8. Kaftaniczek zwierzchni. Krój N. VI, figury 29—31.

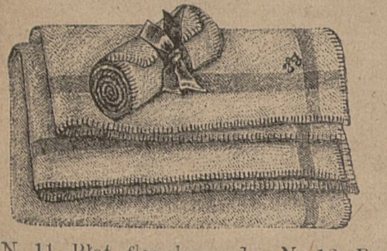
Przed przykrojeniem przodów i pleców cały materyał zaszywa się w zakładki, które na 8 cent. od dołu podszywa się listewką i puszcza luźno do brzegu. Rękawy przykrawa się szerzej, niż do ryc. 13 i przemarszcza u dołu w ten sposób, żeby rączka wchodziła z łatwością; wykładany kołnierzyk i mankiety z koronki nicianej.

N. 6—7. Śliniczki dla niemowlęcia. Krój N. IX, fig. 36.

N. 6. Śliniczek haftowany, desenie do haftu na figurach 43—45 i na fig. 92.



N. 10. Sukienka nocna z boku zapina-na. Krój i opis na dodatku z krojami N. XII, fig. 58—62.

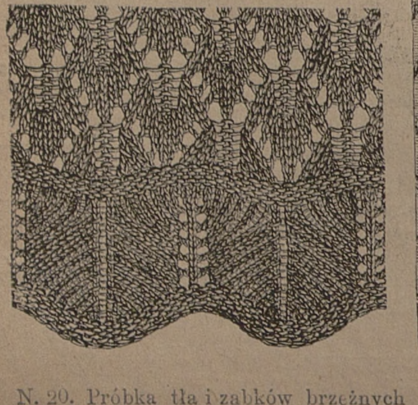


N. 11. Płat flanelowy do kąpieli. Deseń wyszycia na fig. 44.

N. 12. Powijak flanelowy.

Środek stanowi pas zakładek i wstawki haftowane podwleczone kolorową wstążeczką; części boczne są z dymki deseniowej. Zeszycie oddzielnych części i przyszycie z brzegu haftowanej falbanki, przykrywają wązkie listewki haftowane w supełki.

N. 7. Śliniczek pikowy, ozdobiony wstawkami 1 i pół c. szerokiemi i koronką nicianą 2 cent. szeroką. Małą zmianę formy wskazuje ryc. 7.



N. 20. Próbka tła i ząbków brzeżnych do kaftaniczka ryc. 4. Robota na drutach.

N. 15 Wózek dziecinny robotą koszykarską. Zobaczyć ryc. 14 i 16.

N. 9. Chusteczka do ociera-nia ust.



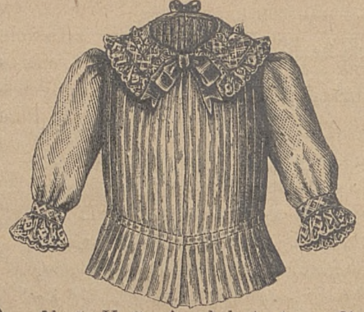
N. 16—18 i ryc. 15. Łóżeczko robotą koszykarską z firanką i z kołderką ozdobioną haftem marsylskim. Deseń na kołderkę na ryc. 19 i na fig. 87—89. Deseń na firankę na ryc. 23 i 24.



N. 19. Deseń i próbka roboty marsylskiej do ryc. 18. dopełnienie deseniu na fig. 87—89.

N. 8. Kaftanik zwierzchni. Krój N. VI, fig. 29—31.

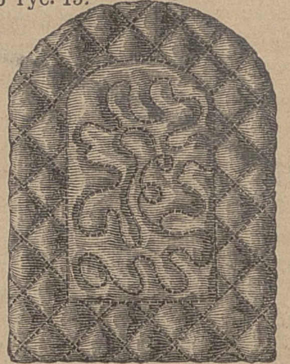
Kaftanik z cienkiego, białego sukna, naszyty był wązkim jedwabnym sutaszem i zapinany z przodu na dwa rzędy płaskich guziczków z konchy perłowej. Oddzielne części łączy się podług jednakowych znaków, a plecy w środku zeszywa się od góry tylko do dwukropka. Rękaw przykroić podług fig. 17. W kołnierz wykładany daje się sztywny muślin i podszewkę atłasową; kieszonki i mankiety mają 6 c. szerokości, te ostatnie spięte są patkami 6 cent. długiemi, szpiczasto zakończonemi.



N. 5. Kaftaniczek batystowy dla niemowlęcia. Krój podług formy do ryc. 13.



N. 7. Śliniczek ozdobiony koronką nicianą. Krój jak do ryc. 6.



N. 14. Kołderka pikowana do wózka ryc. 15.

N. 9. Chusteczka do obcierania ust.

Chusteczki do ust robi się podwójnie z bardzo cienkiego płótna, a brzegi łączy się rzadkim ściegiem dzierganym.

N. 11. Płat do kąpieli. Deseń fig. 44.

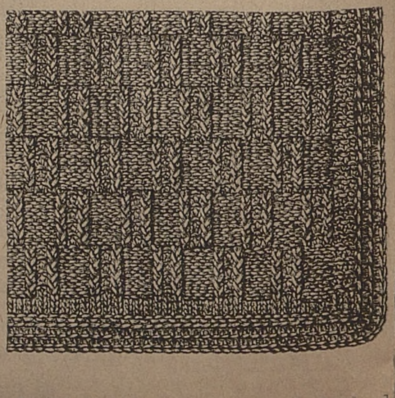
Płaty do kąpieli mające 100 cent. w kwadrat, są z białej flaneli z fabrycznie wrobionym szlakiem szafirowym lub innym. Brzegi obrabia się ściegiem rzadkim dzierganym, albo ząbkami (fig. 44), włóczką tego co szlak koloru.



N. 13. Poduszka do noszenia i kaftaniczek dla niemowlęcia. Krój poduszki N. XX, fig. 83. Krój kaftaniczka N. XIII, fig. 63—65.

N. 12. Powijak flanelowy.

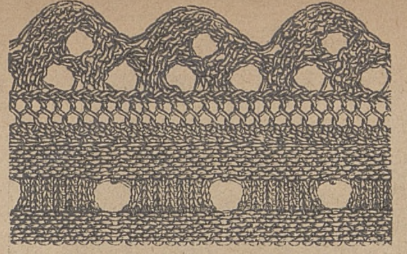
Model zrobiony z cienkiej białej flanelki, miał 163 cent. długości a 11 szerokości; brzegi odziergane były jedwabiem szafirowym, a do końca szpiczasto ściętego, przyszyte wstążki do wiązania.



N. 21. Próbka roboty na drutach d

N. 13. Poduszka do noszenia i kaftaniczek dla niemowlęcia. Krój poduszki N. XX, fig. 83, krój kaftaniczka N. XIII, fig. 63—65.

Strojna powłoczka na poduszkę do noszenia niemowlęcia, zrobiona była z batystu; części boczne są gładkie, część idąca pod główkę i zwierzchnia kołderka oszyte są z brzegów szlakiem haftowanym 7 cent. szerokim, za którym przy poduszce dana bufka 3 cent. i wstawka haftowana 3 i pół cent. szeroka. Środek części kołderkowej zdobi fartuszkowy garnirunek złożony z takich jak przy poduszce bufek i wstawek i ze wstawki 1 i pół cent. szerokiej, naszytych w płaski ząb, a z brzegów podłużnych zakończonych szlakiem haftowanym. Wszędzie na zeszyciach dane wąziutkie listewki



N. 22. Pasek i ząbki do wykroju szyi, do kaftaniczka ryc. 4.

do wózka lub kolebki, którą odrabia się z materyi lub kaszmiru i pikuje w maszynie w sposób wskazany.

N. 15—19. Wózek dziecinny, użyty jako łóżeczko, z przykryciem i kołderką odrobioną sposobem marsylskim. Deseń na ryc. 19 i na dodatku z krojami figury 87—89.

Wózek koszykarską robotą, podany na ryc. 15 służyć także może jako łóżeczko, bo można go od kół odśrubować i przyśrubować do postumentu podanego na ryc. 16. Budkę z niebieskiego kaszmiru odejmuje się a w jej miejsce do łóżeczka dodaje się pawilon z wiedeńskiej płóciennej, niebieskiej gazy, podszytej lekkim fularem. Pawilon przypięty do wygiętego, trzcinowego prętu przymo-

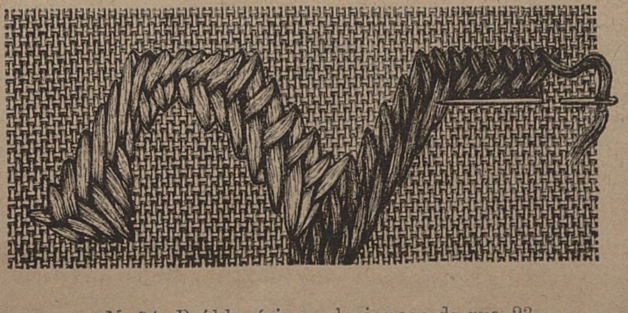


N. 23. Szlak do serwet ręczników a także i do przykrycia łóżeczka ryc. 17. Haft ściegiem plecionym perskim. Próbka roboty na ryc. 24.

batystowe. Górne rogi kołderki przywiązują się na przyszyte od spodu tasiemki do poduszki. Odpowiedni do poduszki garnirunek ze wstawek bufek i szlaczku haftowanego 2 i pół cent. szerokiego, przyszyty jest w formie kareczka do kaftaniczka. Rękawki koło ręki wszyte w pasek ze wstawki haftowanej, podwleczonej kolorową wstążeczką, przeciągniętą na wierzch i związaną na kokardę. Po brzegach wstawki przyszyte są falbanki.

N. 14. Kołderka do wózka dziecinnego ryc. 15.

Na ryc. 14 dajemy mały model kołderki watowanej



N. 24. Próbka ściegu plecionego do ryc. 23.

cowanego do podłogi, ma 460 cent. długości a 135 cent szerokości. Na modelu poprzeczne brzegi zdobił szlak szeroki, robiony ściegiem krzyżowym plecionym, którego deseń dajemy na ryc. 23; na brzegach podłużnych wyszyte były tylko wązkie szlaczki. Kołderka przykrywająca łóżeczko ryc. 16, ozdobiona była haftem marsylskim, którego wykonanie opisywaliśmy w r. 1883. Dziś powtórzymy tylko, że koldry, a raczej kapy takie robią się z materyi na podszewce bez waty, pod bukiety stębnowane daje się w środek podłożenie z grubej bawełny, a kratę na tle i szlaczki wązkie po brzegach wyszywa się ściegiem

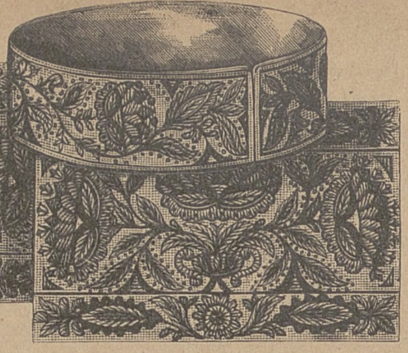


N. 27. Suknia z vêtement.

sznureczkowym podwójnym.

N. 23 –24. Szlak robiony ściegiem plecionym czyli perskim, do ozdoby ręczników, serwet i pawilonu ryc. 16—17.

Model szlaku robiony był na gazie białej płóciennej, filozelą nie rozdzielaną w kolorze bordo, piaskowym i oliwkowym. Ściegi plecione zwykle na każde dwa krzyżyki deseniu zajmują 6 nitek w kwadrat, jednakże na zakrętach i wygięciach trzeba odstępować od reguły, jak to deseń i próbka roboty na ryc. 24 wskazuje. W odstępie trzech nitek od roboty plecionej dane jest wyszycie ściegiem pojedyńczym na dwie strony, zajmującym po 3 nitki.



N. 25—26. Kołnierzyk i mankiet. Haft płaski i sznureczkowy w guście starosławiańskim. Deseń na kołnierzyk na ryc. 32, na mankety na fig 85.

N. 25—26 i ryc. 32. Kołnierzyk i mankiet. Haft płaski i sznureczkowy w guście starosławiańskim. Deseń na ryc. 32 i na fig. 85.

Za tło służy płótno domowej roboty nie zmaglowane; haft płaski robi się bez podkładania, ściegami dawanemi ściśle jeden przy drugiem, bawełną do haftu ponsową i niebieską w trzech cieniach, oraz jedwabiem francuzkim czarnym i jasno orzechowym i nićmi białemi „Königsgarn".

N. 27—31. Ubrania wieczorowe i wizytowe.

N. 27. Suknia z vêtement.

Do różowej atłasowej, fałdowanej spódnicy, zręczne vêtement z przodu w paniers z tyłu krótko upięte, zrobione było z faille w drobne paski różowe i „gris de pigeon". Suta riusza zdobi wykrój stanika, pół krótkie rękawki i przykrywa zapięcie przodów. Duże rozety z różowej atłasowej wstążki.

N. 28. Suknia ze stanikiem Jersey.

Staniki Jersey starannie dopasowane do figury służą zarówno do wizytowego jak i do domowego ubrania. Model do ryc. 28 był koloru crêmowego, z kołnierzykiem stojącym, mankietami i plastronem z aksamitu jasno bordo; prócz tego ozdobiony wyszyciem ze złotej plecionki, której końce są rozczesane na frendzelkę.

N. 29. Suknia z pluszowym stanikiem.

Spódnica z blado - niebieskiej materyi z tyłu w miejsce drapery ozdobiona była szeroką szarfą, a z przodu zagarnirowana aż do pasa falbanami na przemian koronkowemi i materyalnemi plisowanemi, zaszytemi w kilka zakładek. Stanik z jedwabnego pluszu „maron" z przodu zakończony był bawetem, z tyłu fałdowaną baskiną, podszyta niebieską materyą. Głęboki wykrój pod szyją i krótkie rękawki, dopełnia materya plisowana. Kołnierzyk stojący pluszowy; ranwersy z repsu jedwabnego „maron".

N. 30. Suknia z paskiem Medicis.

Pasek Medicis z tyłu sznurowany, zrobiony był z tego co suknia materyału. Stanik bluzkowy podchodzi pod pasek od spódnicy, a zapięcie z przodu przykrywa marszczony żabot z koronkowego tiulu.

N. 31. Suknia z gorsecikowym stanikiem.

Stanik z tego co suknia materyału, ozdobiony z przodu plastronem plisowanym, dopełnia gorsecik aksamitny z baskiną, z przodu sznurowany. Z pod sznurowania przeglądają końce zgrabnej chusteczki koronkowej przymarszczonej i w górę wzniesionej na ramionach, z których zgrabne paniers ułożone na spódnicy, spięte jest z boku kokardą ze wstążki ułożonej w pukle.



N. 28. Suknia ze stanikiem Jersey.



N. 29. Suknia z aksamitnym stanikiem. N. 30. Suknia z paskiem Medicis. N. 31. Suknia z gorsecikowem stanikiem.



N. 32. Deseń i wzór haftu do ryc. 25 i 26. Haft płaski i sznureczkowy w guście sławiańskim.